

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### GRACE

Znalazłam Sama opartego o balustradę na frontowym ganku: wysoki, ciemny kształt, ledwie widoczny nocą. To było zabawne, że sam zarys jego ramion i sposób, w jaki pochylał głowę, potrafiły wywołać we mnie tak wiele emocji. Nawet komuś tak mało spostrzegawczemu jak ja łatwo było zauważyć frustrację i smutek widoczne w linii jego pleców, zgięciu lewego kolana, ułożeniu stopy.

Nagle poczułam się tak nieśmiała, niepewna i podekscytowana jak wtedy, gdy go dopiero poznawałam.

Bez zapalania światła dołączyłam do niego przy barierce, nie wiedząc, co powiedzieć. Miałam ochotę skoczyć na niego i zarzucić mu ramiona na szyję, uderzyć go w pierś i śmiać się jak szalona albo płakać. Nie byłam pewna, jak powinnam się zachować.

Sam odwrócił się do mnie i zobaczyłam, że jego podbródek pokrywa zarost. Postarzał się pod moją nieobecność. Wyciągnęłam dłoń i podrapałam nieznajomo wyglądającą szczecinę, a on uśmiechnął się smutno.

- Czy to bolało? – zapytałam, mocniej pocierając jego brodę. Tęskniłam za dotykiem go.
- Dlaczego miałoby boleć?
- Bo wzięłam cię pod włos – zażartowałam.

Przepętniało mnie szczęście, że stoję tu, z dłonią na jego nieogolonym policzku. Wszystko to było straszne, ale jednocześnie wspaniałe. Miałam ochotę się uśmiechnąć i pomyślałam, że moje oczy prawdopodobnie już to robią, bo na jego ustach też błędził uśmiech, odrobinę niepewny, ale jednak.

- A tak przy okazji – dodałam – to „cześć”.

Sam w końcu uśmiechnął się szeroko i szepnął:

- Cześć, aniele.

Przyciągnął mnie do siebie, a ja objęłam go i uściskałam tak mocno, jak tylko potrafiłam. Pragnęłam go pocałować, ale żaden pocałunek nie mógłby być równie cudowny jak to: jego oddech w moich włosach i moje ucho przytulone do jego piersi. Miałam wrażenie, że razem jesteśmy silniejszą istotą, Grace-i-Samem.

Wciąż trzymając mnie w ramionach, Sam zapytał:

- Jadłeś już coś?
- Kanapkę. Na blacie kuchennym znalazłam też trampki. Raczej nie do jedzenia.

Sam zaśmiał się cicho. Ten dźwięk sprawił mi radość. Byłam tak spragniona jego głosu.

- Zakupy nie są naszą mocną stroną – przyznał.
- Nie lubię kupować jedzenia. Tydzień w tydzień to samo. Chciałabym kiedyś zarabiać tyle, żeby ktoś inny robił to za mnie. Czy do tego trzeba być bogatym? Nie chcę luksusowego domu. Chcę tylko wynająć kogoś, kto będzie odwałał za mnie zakupy – wymamrotałam w jego koszulkę, która pachniała płynem do płukania tkanin.

Sam zamyślił się nad tym.

- Myślę, że to jest coś, co trzeba robić samemu.
- Założę się, że królowa nie robi sama zakupów.

Poczułam jego oddech na czubku głowy.

- Ale ona każdego dnia jada to samo: węgorza w galarecie, kanapki z łupaczem\* i bułeczki z pastą Marmite\*.
- Ty chyba nawet nie wiesz, co to jest Marmite – zauważyłam z rozbawieniem.
- To coś, czym się smaruje chleb. Coś obrzydliwego. W każdym razie tak powiedział mi Beck. – Sam puścił mnie, oparł się o balustradę i zmierzył mnie wzrokiem. – Nie jest ci zimno?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, o co tak naprawdę pyta: „Nie przemienisz się?”.

Ale czułam się naturalnie, pewnie w swojej skórze. Potrząsnęłam głową i oparłam się o balustradę obok niego. Przez chwilę po prostu staliśmy tam w ciemnościach, wpatrując się w noc. Kiedy zerknęłam na Sama, zobaczyłam, że dłonie ma splecione, a palcami prawej ręki ściska kciuk lewej tak mocno, że cały zrobił się biały.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Tylko materiał koszulki dzielił mój pliczek od jego skóry. Pod wpływem tego dotyku Sam westchnął – nie było to nieszczęśliwe westchnienie – i powiedział:

- Myślę, że to zorza polarna.

Podniosłam wzrok, nie unosząc głowy.

- Gdzie?
- Nad drzewami. Widzisz? Niebo jest różowawe.

Zmrużyłam oczy. Na niebie lśniły miliony gwiazd.

- To mogą być światła ze stacji benzynowej. Wiesz, z tego sklepu „QuikMart” pod miastem.
- Co za przygnębiające i rzeczowe spostrzeżenie – uznał Sam. – Wolałbym, żeby to było coś magicznego.
- *Aurora borealis* nie jest bardziej magiczna niż supermarket – wytknęłam mu.

Pisałam kiedyś referat na temat zorzy polarnej, więc wiedziałam sporo o tym zjawisku od strony naukowej. Choć muszę przyznać, że wiatr słoneczny i atomy tańczące ze sobą, by stworzyć dla nas ten pokaz świetlny, i tak wydawały mi się trochę magiczne.

- To również jest przygnębiające spostrzeżenie.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

- Mimo wszystko jest piękna.
- Chyba że to naprawdę „QuikMart” – stwierdził Sam. Spojrzał na mnie w zamyśleniu, sprawiając, że poczułam się odrobinę zaniepokojona. Niechętnie, jakby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, zapytał: - Jesteś zmęczona? Wrócę z tobą do środka, jeśli chcesz.
- Nie jestem – zaprzeczyłam stanowczo. – Chcę tylko побыć z tobą. Zanim wszystko stanie się trudne i skomplikowane.

Ściągnął brwi, patrząc w noc. Potem zaproponował:

- Sprawdźmy, czy to naprawdę jest zorza polarna.
- Masz samolot?
- Mam volkswagena – odparł. – Musimy pojechać gdzieś, gdzie będzie ciemniej. Z dala od „QuikMartu”. Na dzikie pustkowia Minnesoty. Masz ochotę?

Na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, który tak kochałam. Miałam wrażenie, jakby minęły wieki, od kiedy widziałam go po raz ostatni.

- Masz kluczyki? – zapytałam.

Poklepał się po kieszeni.

---

\* Łupacz – gatunek ryby z rodziny dorszowatych, popularny w krajach anglosaskich, gdzie wraz z dorszem stanowi podstawę dania *fish and chips*.

\* Marmite – brytyjski produkt spożywczy, pasta o smaku sosu sojowego używana m.in. do smarowania kanapek, wyciąg drożdżowy, który jest produktem ubocznym w procesie warzenia piwa.

- A co z Cole’em? – Spojrzałam na piętro.
- Śpi, jak wszyscy inni o tej porze – uspokoił mnie Sam. Nie powiedziałam mu, że jest inaczej. Zobaczył moje wahanie i błędnie je odczytał. – To ty masz tu głowę na karku. Czy to jest zły pomysł? Ja nie wiem. Może tak właśnie jest.
- Chcę jechać – ucięłam. Mocno złapałam go za rękę. – Niedługo wrócimy – zapewniłam.

Wsiadliśmy do volkswagena stojącego na ciemnym podjeździe. Samochód zagrzmiał, budząc się do życia. Miałam wrażenie, jakbyśmy planowali coś ważniejszego niż tylko ściganie świateł na niebie. Moglibyśmy pojechać dokądkolwiek w pogoni za obietnica magii. Sam podkreślił ogrzewanie, podczas gdy ja przesunęłam siedzenie do tyłu – ktoś musiał przestawić je maksymalnie do przodu. Poczułam jeszcze jak mocno ściska moja dłoń, po czym sprawnie wycofał auto z podjazdu.

- Gotowa?

Uśmiechnęłam się do niego. Po raz pierwszy od dawna czułam się jak stara Grace, ta, która mogła robić wszystko, co tylko przyszło jej do głowy.

- Od zawsze.

Mknęliśmy ulicami. Sam wyciągnął dłoń i pogłaskał palcem moje ucho. Ta czynność sprawiła, że samochód odrobinę zbczył z drogi. Chłopak szybko przeniósł wzrok z powrotem na jezdnię i zaśmiał się, poprawiając tor jazdy.

- Wyglądaj przez okno – nakazał mi. – Bo ja najwyraźniej nie pamiętam, jak się prowadzi. Mów mi, gdzie jechać. Gdzie jest najjaśniej. Ufam ci.

Przycisnęłam twarz do szyby i zmrużyłam oczy, szukając śladów zorzy na niebie. Początkowo trudno było mi stwierdzić, gdzie się znajduje, więc najpierw skierowałam Sama na najciemniejsze drogi, jak najdalej od świateł miasta. W miarę jak minuty mijały, coraz łatwiej było znajdować drogę na północ. Każdy zakręt zabierał nas dalej od domu Becka, dalej od Mercy Falls, od lasu Boundary. A potem, nagle, znaleźliśmy się wiele mil od naszego prawdziwego życia, jadąc prostą jak strzała drogą przez nieskończoną przestrzeń pod bezkresnym niebem usianym milionami świetlistych punkcików. W noc taką jak ta nietrudno było uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno temu ludzi prowadziło po świecie tylko światło gwiazd.

- 1859 roku – poinformowałam Sama – doszło do burzy magnetycznej, dzięki której zorza polarna była tak jasna, że ludzie mogli przy niej czytać.

Sam ani przez chwilę nie wątpił w moją wiedzę.

- Dlaczego tyle o tym wiesz?
- Bo to interesujące – wyjaśniłam.

Na jego usta znowu wypłynął uśmiech. Odrobinę ironiczny, co oznaczało, że był oczarowany moją nadmiernie rozwiniętą lewą półkulą mózgu.

- Opowiedz mi coś jeszcze.
- Zorze polarne bywały tak mocne, że operatorzy telewizyjni odcinali normalne zasilanie i korzystali z energii wytwarzanej właśnie przez nie.
- Niemożliwe. – Sam pokręcił głową, ale wiedziałam, że mi uwierzył. – I co jeszcze?

Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam jego ręki spoczywającej na dźwigni zmiany biegów. Kiedy przesunęłam kciukiem po jego nadgarstku, poczułam, że dostał gęziej skórki. Opuszkami palców odnalazłam bliznę – nienaturalnie gładki wzgórek i pomarszczone krawędzie.

- Nic nie czuję w tym miejscu – powiedział. – Jest zupełnie martwe.

Na chwilę otoczyłam jego nadgarstek dłonią, mocno dociskając kciuk do skóry. Czułam trzepotanie jego pulsu.

- Moglibyśmy jechać i jechać, wciąż i wciąż przed siebie – rzuciłam.

Sam milczał i początkowo uznałam, że nie rozumiał, co miałam na myśli. Ale potem zobaczyłam jego dłonie na kierownicy. W świetle deski rozdzielczej dostrzegłam, że wciąż miał błoto pod paznokciami prawej dłoni. W przeciwieństwie do mnie nie porzucił swojej brudnej skóry.

– O czym myślisz? – zapytałam go.

Odpowiedział dziwnie lepkiem głosem, jakby musiał oddzielać od siebie słowa, żeby wydostać je z ust:

– Że w zeszłym roku o tej porze nie chciałym tego. – Z trudem przełknął ślinę. – Ale teraz, gdybyśmy tylko mogli, zrobiłbym to bez zastanowienia. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Potrafiłam. Potrafiłam sobie wyobrazić życie gdzieś daleko stąd, rozpoczęcie wszystkiego od zera, tylko we dwoje. Ale gdy tylko to robiłam – zobaczyłam skarpetki Sama suszące się na kaloryferze, moje książki rozłożone na małym kuchennym stole, brudne kubki po kawie stojące w zlewie – pomyślałam o tym, co musiałabym zostawić: Rachel, Isabel, Oliwię i w końcu rodziców. Porzuciłam ich tak ostatecznie poprzez wątpliwy cud swojej przemiany, że mój gniew wydawał się teraz stłumiony i odległy.

Nie mieli już władzy nad moją przyszłością. Nic nie miało na nią wpływu... poza pogodą.

Nagle przez okno od strony kierowcy zobaczyłam zorzę polarną, jasną i wyraźną. Zdecydowanie nie była to łuna bijąca od sklepowych świateł...

– Sam, Sam! Patrz! Skręć, skręć, tędy!

Na niebie po naszej lewej wiła się sinusoidalna, poszarpana różowa wstążka. Jaśniała i pulsowała niczym żywy organizm. Sam skręcił w lewo, w wąską zwirowana drogę, która wiodła przez ogromne czarne pole. Samochód kołysał się, pokonując pełne dziur podłoże, żwir chrzęścił pod oponami. Zęby mi zadzwoniły, gdy podskoczyliśmy na wyboju, a z gardła Sama wyrwało się „hhh” – dźwięk, który zmieszał w dziwną melodię z wibrującym warkotem silnika volkswagena.

– Zatrzymaj się tutaj! – zawołałam.

Pole ciągnęło się w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Sam zaciągnął hamulec ręczny i razem wyrzeliśmy przez przednią szybę.

Na niebie bezpośrednio nad nami unosiła się *aurora borealis*. Jak iskrząca się różowa droga, wiła się przez powietrze i znikła za drzewami, z jednej strony wpadając w ciemniejszy, fioletowy odcień. Migotała i gaśla, rozciągała się i kurczyła, rosła i malała. W jednej chwili była pojedynczym pasmem, drogą do nieba, a w następnej zbiorem wielu smug, armią stworzoną ze światła, wiecznie maszerującą w kierunku północy.

– Chcesz wysiąść? – zapytał Sam.

Złapałam za klamkę i już po chwili oboje staliśmy na zewnątrz. Powietrze było dość zimne, ale póki co czułam się dobrze. Oparliśmy się o maskę samochodu. Była wciąż jeszcze ciepła od pracy silnika – nasz volkswagen ogrzewał mnie w tę chłodna noc.

Razem spojrzeliśmy w górę. Płaskie czarne pole wokół nas sprawiło, że niebo wydawało się ogromne jak ocean. Z wilkiem wewnątrz i Samem u boku – oboje byliśmy dziwnymi stworzeniami – czułam, że w jakiś sposób jesteśmy nieodłączną częścią tego świata, tej nocy, tej bezgranicznej tajemnicy.

Z niewiadomego powodu serce zabiło mi mocniej. Nagle poczułam się wyjątkowo świadoma tego, że Sam stoi tak blisko mnie. Zobaczyłam parę jego oddechu.

– Tak blisko, że aż trudno uwierzyć – szepnęłam i nie wiem czemu głos załamał mi się na słowie „uwierzyć” – że to nie magia.

Sam pocałował mnie.

Bardziej w kącik ust, bo twarz wciąż miałam uniesioną. Odwróciłam głowę, żeby mógł mnie pocałować znowu. Moje usta zapłonęły w zetknięciu z jego zarostem, a kiedy dotknął mojego ramienia, skóra stała się wyjątkowo świadoma jego szorstkich palców. Wszystko we mnie zdawało się surowe i wygłodniałe. Nie potrafiłam zrozumieć, jak coś, co robiliśmy tak wiele razy, mogło się wydawać takie dziwne i nowe, i przerażające zarazem.

Kiedy się całowaliśmy, fakt, że jeszcze kilka godzin temu byłam wilkiem i że znowu się w niego zamienię, przestał się liczyć. Nie miało znaczenia, że po tej chwili czekało na nas tysiąc pułapek. Dla mnie ważna była tylko miękkość jego ust i to bolesne pragnienie wewnątrz mnie.

Sam docisnął twarz do mojej szyi i objął mnie gwałtownie, tak mocno, że aż trudno mi było oddychać, a moje biodro boleśnie napierało na maskę, ale przenigdy nie powiedziałabym mu, żeby wypuścić mnie z ramion.

Wymamrotał coś, ale nie dosłyszałam.

– Co takiego? – zapytałam.

Wypuścić mnie z objęć i spojrzeć na moją dłoń spoczywającą na masce. Przycisnął opuszkę kciuka do czubka mojego palca wskazującego i przyglądał się naszym palcom, jakby były znaleziskiem muzealnym.

– Tęskniłem za patrzyeniem na twoja twarz – wyszeptał cicho, ale mówiąc to, nie podniósł na mnie wzroku.

Zorza nad nami migotała i falowała. Nie miała początku ani końca, ale wiadomo było, że prędzej czy później zniknie. Znowu pomyślałam o błocie pod jego paznokciami, o zadrapaniach na jego skroni. Co jeszcze się wydarzyło, kiedy byłam w lasach?

– Ja tęskniłam za posiadaniem twarzy – skwitowałam.

W myślach wydawało mi się to zabawne, ale gdy wypowiedziałam te słowa na głos, żadne z nas się nie zaśmiało. Sam zabrał dłoń i podniósł wzrok na *aurorę borealis*. Patrzył w niebo, jakby nie myślał o niczym i nagle dotarło do mnie, że byłam okrutna. Nie powiedziałam mu niczego miłego, nie powiedziałam, że ja też za nim tęskniłam, choć po tak długiej rozłące z pewnością chciał to usłyszeć. Ale było już za późno, by zareagować na jego słowa i nie wiedziałam, jak powiedzieć coś, co nie zabrzmi ckliwie. Pomyślałam, że powiem mu, że go kocham, ale nawet sama myśl o wypowiedzeniu tego na głos sprawiła, że poczułam się dziwnie. Nie wiedziałam dlaczego. Przecież kochałam go tak bardzo, że aż to bolało.

A jednak nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Więc tylko wyciągnęłam dłoń, a Sam otoczył ją swoją dłonią.

## SAM

Zorza wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca, niż kiedy obserwowaliśmy ją z auta. Zimne powietrze wokół nas poruszało się i migotało fioletem i różem. Wyciągnąłem wolną rękę do góry, jakbym mógł jej dotknąć. Było zimno, ale w tym dobrym znaczeniu: to był taki chłód, który sprawia, że człowiek czuje, że żyje.

Nad naszymi głowami niebo było tak czyste, że mogliśmy widzieć wszystkie gwiazdy, a one mogły widzieć nas.

Teraz, kiedy już pocałowałem Grace, nie mogłem przestać myśleć o dotykaniu jej. Fantazjowałem o wszystkich tych miejscach, które mógłbym jeszcze pieścić: o miękkiej skórze w zagięciu jej łokcia, krzywiźnie ciała tuż nad biodrem, linii jej obojczyka. Znowu zapragnąłem ja pocałować, tak mocno. Chciałem jej *w i ę c e j*, ale zamiast tego trzymaliśmy się tylko za ręce, z głowami odchylonymi do tyłu i razem, powoli obracaliśmy się, wpatrzeni w bezkres nieba. To było jak spadanie albo latanie.

Czułem się rozdarty pomiędzy chęcią pośpiechu, by sięgnąć po *w i ę c e j* jak najszybciej, a pragnieniem trwania w stanie wyczekiwania i bezpieczeństwa. Gdy tylko wrócimy do domu, polowanie na wilki znowu stanie się realne, a ja zupełnie nie byłem na to gotowy.

Grace ni stąd ni z owąd zapytała mnie:

– Sam, zamierzasz mnie poślubić?

Drgnąłem i spojrzałem na nią, ale ona wciąż wpatrywała się w gwiazdy, jakby rozmawiała ze mną o pogodzie. Jednak w jej przymrużonych oczach dostrzegłem coś, co przeczyło beztroskiemu tonowi jej głosu.

Nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi oczekiwała. Miałem ochotę roześmiać się w głos, bo nagle zdałem sobie sprawę z tego, że oczywiście miała rację. Tak, lasy będą mi ją zabierać na zimne miesiące, ale przecież nie umierała, nie traciłem jej na dobre. I miałem ją przy sobie tutaj, teraz. W porównaniu z tym faktem wszystko inne stawało się nieistotne, wykonalne, drugorzędne.

Nagle świat wydał mi się przyjaznym, obiecującym miejscem. Nagle zobaczyłem przyszłość i było to miejsce, w którym chciałem się znaleźć.

Uświadomiłem sobie, że Grace wciąż czeka na odpowiedź. Przyciągnąłem ją bliżej, aż znaleźliśmy się nos w nos pod zorzą polarną.

- Czemu pytasz? – uśmiechnąłem się.
- Chcę się tylko upewnić – odpowiedziała, ale też uśmiechała się lekko, bo już знаła moje myśli. Drobny kosmyk blond włosów przy jej skroni unosił się na wietrze. Powinno ją to łaskotać, jednak nawet nie drgnęła. – To znaczy nie chcę żyć w grzechu.

A wtedy oczywiście się roześmiałem, pomimo świadomości czyhających na nas niebezpieczeństw.

Kochałem ją, ona kochała mnie, a świat był piękny i skąpany w różowym świetle.

Pocałowała mnie delikatnie.

- Powiedz „okej”. – Zaczęła drżeć.
- Okej – zgodziłem się. – Umowa stoi.

Poczułem, jakby to było coś namacalnego, co mogłem trzymać w dłoniach.

- Naprawdę tak myślisz? – zapytała. – Nie mów tego, jeśli nie myślisz tak naprawdę.
- Naprawdę tak myślę – zapewniłem, choć mój głos zabrzmiał mniej poważnie, niż powinien.
- Okej – odpowiedziała Grace, zadowolona i pewna moich uczuć. Westchnęła cicho i splotła swoje palce z moimi. – Teraz możesz zabrać mnie do domu.